

Partnerstwo zamiast samouwięzienia



EWA KIPTA

architekt, urbanista

Przeciętny Polak czuje swoją przynależność przede wszystkim do dwóch grup społecznych: rodziny oraz narodu. Rzadko kiedy występują u nas szczeble pośrednie, np. wspólnoty lokalne. W dodatku doświadczenie PRL-u, kiedy nie byliśmy traktowani podmiotowo, sprawiło, że to, co publiczne, traktujemy jako obce – nie wspólne. Przekłada się to na jakość otoczenia, w którym żyjemy i funkcjonujemy. Dlaczego potrzebujemy dziś partnerstwa na rzecz przestrzeni? Kim powinny być strony owego porozumienia? Czy powinno ono dotyczyć jedynie przestrzeni publicznej, czy również prywatnej?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor thinklettera Kongresu Obywatelskiego.

Czy Polacy potrzebują zmiany filozofii myślenia o przestrzeni?

Mamy dziś bardzo niejasne pojęcie o tym, na czym polega wartość przestrzeni. Chcielibyśmy jej mieć jak najwięcej na własność, a jednocześnie nie bardzo zdajemy sobie sprawę, że przebywanie głównie w przestrzeni własnej, prywatnej, oznaczałoby swego rodzaju samouwięzienie. Normalne życie wymaga przestrzeni wspólnej, przestrzeni spotkań, interakcji nie tylko prywatnych. Niezależnie od tego, kto jest jej właścicielem, powinna być ona dostosowana przede wszystkim do jej użytkowników. W przeciwnym razie nie uda się wykorzystać jej potencjału. Dlatego potrzebne są nam stosowne umowy społeczne dotyczące użytkowania przestrzeni, które bez angażowania struktur hierarchicznych (lub z oszczędnym ich udziałem) porządkują relacje między użytkownikami, redukując potencjalne konflikty i kolizje. Problem polega na tym, że często wymaga to dobrowolnego samoograniczenia zarówno użytkowników jak i właścicieli tejże przestrzeni. A to kłóci się z naszym pojmowaniem wolności – prędzej zaakceptujemy zniewolenie w formie narzuconego prawem ograniczenia, niż użyjemy wolności do akceptacji ograniczeń wynikających ze wspólnych korzyści.

Kim są owi użytkownicy przestrzeni – czy chodzi przede wszystkim o mieszkańców?

Również o mieszkańców, lecz także o przedsiębiorców, użytkowników administracyjnych, podmioty instytucjonalne – ale w gruncie rzeczy chodzi o wszystkich ludzi, którzy w danej

przestrzeni mają funkcjonować. Często zapominamy, że chodzi także o stworzenia inne niż ludzie, o drzewa, ptaki i inne zwierzęta, o florę i faunę tworzące lokalne ekosystemy, a konkretniej: o zapewnienie im warunków do tego, by nie zniknęły pod presją ludzkiej aktywności, by mogły harmonijnie z ludźmi współistnieć, wzbogacając przestrzeń swoją obecnością.

Jak taka umowa może wyglądać?

Różnie, w zależności od charakteru przestrzeni i sposobu jej użytkowania. Przepisy i zwyczaje dotyczące ruchu drogowego są taką właśnie umową w odniesieniu do dróg publicznych, które z definicji muszą obsłużyć różnych użytkowników. Ustawa to najwyższy stopień sformalizowania umowy o użytkowaniu przestrzeni. Na podwórku miejskiej kamienicy wystarczą ustne ustalenia między mieszkańcami. Między tymi dwiema formami istnieje cały wachlarz pośrednich rozwiązań. Właściciel małego sklepu będzie stopniowo dostosowywał jego przestrzeń do oczekiwań klientów pytając ich o zdanie, a duża galeria handlowa zatrudni w tym celu specjalistyczną firmę. W obu wypadkach właściciele są zmotywowani ekonomicznie do dostosowania przestrzeni do potrzeb i gustów użytkownika, nawet bez jego świadomego udziału w tych zmianach. Im większa liczba i różnorodność użytkowników, im trwalsze ich wzajemne kontakty, tym ważniejsze staje się uzgodnienie zasad wspólnie użytkowanej przestrzeni. Wiele z nich należy do kodów kulturowych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie lub wypracowywanych pod presją nowych potrzeb.

Najtrudniejsze są ustalenia o przekształcaniu już zagospodarowanej przestrzeni w miastach lub na wsi. Zmiany takie wynikają z konieczności dostosowania do zmian cywilizacyjnych, ale proces ich wdrażania musi uwzględniać ciągłość toczących się aktywności i różną potrzebę i zdolność do inwestowania w te zmiany. Formą takiej właśnie umowy może być akt planowania przestrzennego, o ile nie jest robiony jedynie pod dyktando inwestorów. Partycypacja społeczna w planowaniu przestrzennym służy właśnie ustaleniu jak najszerszej akceptowanego kompromisu między tym co pożądanego, a tym, co możliwe. Z niej także wynika zwielokrotnienie liczby podmiotów realizujących ustalone zmiany, choćby dlatego, że są akceptowane.

Dlaczego tak rzadko mamy do czynienia dobrym funkcjonowaniem takich umów społecznych?

Planowanie przestrzenne w Polsce wciąż jest kojarzone z ograniczaniem wolności obywateli. Nie odrobiliśmy jeszcze lekcji europejskich i amerykańskich buntów miejskich z lat 60. i 70. XX wieku, bo w tamtym czasie mieliśmy zgoła inne problemy. Zaledwie od paru lat możemy poczytać, co wtedy pisali Gordon Cullen, Jane Jacobs, Kevin Lynch i inni krytycy urbanistyki modernistycznej. Nasza neoficka wiara w wolny rynek nie przyjmowała nawet do wiadomości tego, że Milton Friedman wykluczył gospodarowanie przestrzenią z obszaru wpływów „niewidzialnej ręki rynku”. Planowanie partycypacyjne, jako wyraz aspiracji, odpowiedzialności i rozsądku wspólnoty lokalnej w Polsce jakoś się „nie przyjęło”, podobnie zresztą jak skuteczne prawo budowlane. Przyczyny tego są złożone.

Z badań socjologicznych wynika, że Polacy mają problem z identyfikacją wspólnot innych niż rodzina i naród. Rzadko korzystamy z identyfikacji szczebla pośredniego – nie bardzo umiemy utożsamiać się jako członkowie grup lokalnych wspólnie korzystających z najbliższej sobie przestrzeni. Co gorsze, przy nadmiarze skłonności do rywalizacji, wolimy traktować sąsiadów raczej jako konkurentów do korzystania z dóbr przestrzeni niż jako współników w jej oswojaniu. Myślę, że to wiele tłumaczy. Okolicznością łagodzącą tego zaniechania jest tempo i zakres transformacji po 1989 roku, które po prostu przerosło naszą społeczną wyobraźnię.

“ **Polacy mają problem z identyfikacją wspólnot innych niż rodzina i naród. Rzadko korzystamy z identyfikacji szczebla pośredniego – nie bardzo umiemy utożsamiać się jako członkowie grup lokalnych wspólnie korzystających z najbliższej sobie przestrzeni.**

Na kim moglibyśmy się wzorować?

Bardzo dobrym przykładem myślenia o przestrzeni jest Skandynawia, gdzie myśli się w kategoriach wsi, miasteczek czy miast. Być może wynika to z tego, że nie było tam – w przeciwieństwie do Polski – wydarzeń historycznych, które zerwałyby ciągłość myślenia o wspólnotach lokalnych. Podobnie rzecz się ma w Anglii. Miałam przyjemność oglądać prace komisji odpowiedzialnej za przestrzeń w Leicester. Taki organ, składający się z radnych miejskich, bierze wszelkie wnioski inwestycyjne składane do miasta wraz z rekomendacjami fachowców, a następnie robi „objazd”, wysłuchując stron całego procesu. Strony te się ze sobą nie kłócą – przedstawiają tylko swoje racje. Istnieje wówczas możliwość prowadzenia negocjacji, szukania rozwiązań pośrednich. Na tym polega działanie z lokalną społecznością, a nie przeciwko niej. Nie jest to doświadczenie władzy, lecz dochodzenie do wspólnych ustaleń. Tego potrzeba nam w Polsce – z jednej strony świadomości partnerstwa, a z drugiej narzędzia wyartykułowania kryteriów tego partnerstwa oraz treści, których ma ono dotyczyć.

Nawiązała Pani do naszej historii – w jaki sposób wpłynęła ona na postrzeganie przestrzeni publicznej przez Polaków?

Za czasów PRL przestrzeń była bardzo rygorystycznie reglamentowana – nie tylko ilościowo, ale również jakościowo. Państwo miało pełen monopol na tworzenie przestrzeni oraz organizowanie w niej życia. Obywatele nie mieli nic do powiedzenia, więc nie traktowali tej przestrzeni jako wspólnej, „swojej”, lecz jako obcą. Takie podejście ciągle jeszcze pokutuje w naszej podświadomości.

“ **Za czasów PRL państwo miało pełen monopol na tworzenie przestrzeni oraz organizowanie w niej życia. Obywatele nie mieli nic do powiedzenia, więc nie traktowali tej przestrzeni jako wspólnej, „swojej”, lecz jako obcą. Ciągle jeszcze pokutuje w nas takie podejście.**

Druga rzecz to prymat wąsko pojętej fachowości, wychodzenie z założenia, że w każdej sytuacji istnieje „jedynie słuszne rozwiązanie” które tylko „specjalista” jest w stanie opracować i ma prawo je narzucić. Tymczasem z mojego doświadczenia projektowego wynika zupełnie inny wniosek – możliwych poprawnych rozwiązań jest wiele, więc najlepszych należy poszukiwać w nawiązaniu do lokalnych uwarunkowań, które nie są „przeszkodą” dla inwencji twórczej, ale bywają wręcz natchnieniem. Rola moderatora debaty lokalnych partnerów może być dla urbanisty znacznie ciekawsza, niż mocno już znoszony kostium corbusierowskiego „demiurga”, którym zasłania się intencje „wiodących” inwestorów. Planowanie przestrzenne zbyt mocno skupia się na przepisach i kryteriach obiektywnych, a pomija wartości ważne dla konkretnej społeczności i miejsca. Może dlatego nie ma komu bronić urbanistów przed zdegradowaniem ich zawodu?

Czy mówiąc o partnerstwie na rzecz przestrzeni, nie należałoby uwzględnić również przestrzeni prywatnej? Czy zachłyśnięcie się wolnością po 1989 r. nie uruchomiło wśród wielu Polaków myślenia, że skoro przestrzeń nie jest już reglamentowana, to ze swoim domem czy ogrodem mogą robić, co mi się żywnie podoba, choćby to nijak nie pasowało do pewnego rodzaju norm i kanonów obowiązujących w danej dzielnicy czy na danej ulicy?

Z pewnością mieliśmy do czynienia z nuworyszowskim dążeniem do prestiżu i luksusu. Jak w piosence z tamtych lat: *Tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco, a tam gdzie to kreto-wisko będzie stał mój bank.* W wielu miejscach powstawały architektoniczne dziwadła, które miały przyciągać uwagę, lecz kompletnie nie pasowały do otoczenia. Dziś takie zachowania są już trochę rzadziej spotykane. Dobra architektura zaczyna być na tyle powszechna i atrakcyjna, że nie ma już takiego parcia na pretensjonalne „pokazówki”. Niemniej jednak podejście, o którym Pan wspominał, wyrządziło w przestrzeni polskich miast dużo szkody – zarówno za sprawą nuworyszy, jak i zwykłych ludzi, którzy przyjęli pewien przekaz z ich postępowania.

Zwykłych ludzi nie stać jednak było na budowanie „domów Gargamela” – czego zatem dotyczyła negatywna inspiracja, której ulegli?

Objawia się ona nadal, chociażby w tendencji ku temu, by raczej budować nowe domy, zamiast remontować, modernizować istniejące. Także w propozycjach ustawowych i planowaniu strategicznym w każdej skali wciąż dominuje myślenie o budowaniu, a brakuje wsparcia dla renowacji. Tymczasem nie stać nas na to, by budować domy jednopokoleniowe, o „terminie przydatności” 20 do 30 lat – żaden kraj na świecie nie może sobie na to pozwolić. Choćby dlatego, że wielkim problemem – i to na całym świecie – są odpady budowlane. Uważam, że „recykling” przestrzeni zabudowanych jest rozwiązaniem lepszym niż zmaganie się z recyklingiem gruzu.

Nie zostaliśmy też nauczeni szacunku do tego, co odziedziczyliśmy po poprzednich pokoleniach. I to pomimo tego, że w wyniku II wojny światowej takiego dziedzictwa mamy bardzo niewiele w porównaniu do innych państw Europy. Wydawałoby się, że będąc świadomymi tego uszczerbku, powinniśmy szczególnie cenić to, co pozostało. Nic jednak bardziej mylnego – cenimy to, co nowe, starając się to, co stare, zredukować do minimum. Najlepiej widać to w sposobie traktowania drewnianej architektury rodzimej – wiemy już doskonale, że Brytyjczycy, Skandynawowie, Kanadyjczycy wysoko cenią swoje zabytki tego rodzaju, natomiast my nadal się swoich wstydzimy.

“ **Nie zostaliśmy nauczeni szacunku do tego, co zostało z poprzednich pokoleń – cenimy to, co nowe, starając się to, co stare, zredukować do minimum.**

Przez całą naszą rozmowę przewijały się wątki związane z ekonomią. Czy dbanie o przestrzeń – poczynając od tej prywatnej – musi być kosztowne?

Dbłość o przestrzeń może być jak najbardziej niskokosztowa i dużo tańsza niż stosowanie metody prób i błędów. Dziś faktycznie pokutuje w Polsce przekonanie, że jakość przestrzeni to walor dostępny tylko dla zamożnych. To jednak nieprawda. Przy obowiązującej modzie na minimalizm możliwe jest pogodzenie jakości z rozsądnymi kosztami. Jest jednak jeden warunek: przy gospodarowaniu przestrzenią nie można oszczędzać na myśleniu – dotyczy to także zaangażowania jej użytkowników w ten proces. Dobre zmiany mogą przynieść oszczędności, o ile tylko dobrze je przemyślimy i zaplanujemy, najlepiej w szerokim gronie zainteresowanych osób. Nie spiesząc się i wychodząc z założenia, że najpierw trzeba myśleć, a dopiero później działać. Nie można oszczędzać na myśleniu, ograniczając się do typowych rozwiązań przestrzennych. W ten sposób zwiększa się ryzyko błędnych kontekstów, a przy tym stwarza się wrażenie nudy – znane doskonale ze scenerii osiedli wielkopłytowych. Tak ujednolicona przestrzeń jest sama w sobie „pułapką średniego rozwoju” – być może zaspokaja pewne niedobory, ale nie nadaje się do rozwijania jakichkolwiek aspiracji.

Z drugiej strony jest sporo niedrogich możliwości poprawy jakości przestrzeni, choćby przez staranny dobór kolorów (rezygnacja z przecenionych farb) lub dbałość o zieleń. Nawet bardzo szpetne obiekty można zneutralizować wprowadzeniem pnączy. Tyle, że należy zadbać o ich trwałość. Urządzenie przestrzeni wspólnych zgodnie z pomysłami ich użytkowników jest mniej narażone na wandalizm, a przy tym lepiej i bezpieczniej wykorzystywane. Mając tego świadomość, można w otaczającej nas przestrzeni relatywnie prostymi sposobami ingerencji naprawdę wiele poprawić.

O autorce

Ewa Kipta jest architektem i urbanistą. Współzałożycielka i wiceprezes Forum Rewitalizacji. W latach 2011-2015 pełniła funkcję prezesa. Zawodowo związana z Lublinem, zajmowała się m.in. rewitalizacją jego kilku dzielnic przy udziale mieszkańców. W latach 80. w „Solidarności”, internowana w stanie wojennym. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Autorka wielu publikacji dotyczących zintegrowanych metod rozwoju jakościowego miast. Współautorka tłumaczenia książki Gordona Cullena „The consize TOWNSCAPE”.